№ 9. Kraków 30 Marca — Sobota. Rok 1850.

Wychodzi w Krakowie trzy razy na miesiąc, tj. 10go 20 i 30go każdego miesiąca jako dodatek do Czasu.

DODATEK LITERACKI DO CZASU.

Pojedyńczy arkusz Dodatku kosztuje grp. 15. Prenumeratorowie Czasu otrzymują go bezpłatnie.

O pamiętnikowéj literaturze (dalszy ciąg). — Kolenda, komedya w jednym akcie. — Odkrycia w botanice. — Wiadomości bibliograficzne i artystyczne.

O PAMIĘTNIKOWÉJ LITERATURZE
a mianowicie o Pamiętnikach Niemcewicza.

(Dalszy ciąg.)

Po krótkich chwilach radości, towarzyszącéj ogłoszeniu Konstytucyi 3 Maja, — naszły na naród, chący się dzwignąć z upadku, ciężkie próby: Manifest dworu petersburskiego zaniesiony przez Bułhakowa, stał się hasłem oddziaływań wewnętrznych i zewnętrznych. Zgrzybiały Kaunitz niczém zbywa księcia Adama Czartoryskiego! a tłusty Wilhelm odpowiada Ignacemu Potockiemu: odmieniły się okoliczności. — Książe Józef, mianowany naczelnym wodzem, udaje się na Ukrainę, gdzie go czekała 50cio-tysięczna armia; ale na téj saméj Ukrainie, w mieście Targowicy, tworzy się konfederacya, oskarżająca sejm cztéroletni o zdradę. Cała kampania pod księciem Józefem opisana lepiéj i szczegółowiéj, niż we wszystkich dotąd znanych dziełach; Niemcewicz przypisuje klęski jéj, już niedoświadczonym, i pole zależałym dowódzcom; już nieporozumieniom między księciem Józefem a Michałem Lubomirskim. Duch między oficerami także był nielepszy: adjutanci księcia sami stronnicy partyi targowickiéj, wrzekali przeciw téj wojnie; a w ogóle było zdanie — kiedy sam autor przybył do obozu — że to nie wojna między Polską a Rosyą, ale między Ignacem a Szczęsnym Potockim. Z takiemi usposobieniami trudno było spodziewać się pomyślnych skutków oręża. Stanisław August, niezdolny do energicznego kroku, mogącego jeszcze kraj ocalić, otoczył się kobietami, które już podbił wpływ i podarki Bułhakowa. Z drugiéj strony nacierali nasi patryoci, aby stanął na czele wojska — wyjechał więc na Pragę, obejrzał szeregi Byszewskiego, i — wrócił na wieczerzę do pani Grabowskiéj. — Niezostawało mu, jak tylko podpisać konfederacyę targowicką — więc podpisał. — Wojsko ostatni raz starło się pod Kurowem, gdy wiadomość nadeszła o odstępstwie króla.

Najlepsi jenerałowie pobrali natychmiast dymisye. — Niemcewicz, zabrawszy skromne swoje, jak powiada manatki — puścił się do Lipska. — Pocieszną jest anegdota, którą przytacza o zjeździe Targowiczan w Brześciu litewskim. Oni to chcąc niby naśladować stare przodków zwyczaje, umówili się, by przy czytaniu ewanielii dobyć do połowy płaszcze; — hetman Seweryn R., który w całém życiu swojém niedobył nigdy zardzewiałego rożenka, gdy długo mocuje się, by go dobyć, nareszcie z powszechnym śmiechem z pochwą podniósł szpadę swoją do góry. Autor nasz — na wygnaniu — piórem walczył; w Wiedniu napisał *Biblią Targowicką, Księgi Szczęsnowe*, i znaną elegię, zaczynającą się od słów: „Przyszła wiosna majowym uwieńczona wiankiem“ itd. Broszury te, drukowane w Wiedniu, przewozili do Warszawy emigranci francuscy, zostający w służbie rosyjskiéj, jak książe de Richelieu i hr. Langeron. — Z Wiednia przeniósł się do Włoch, a w czasie pobytu w Rzymie, opisuje znajomość swą z księciem Sussex; Polacy wdzięczni za obiady, które im książe dawał, utraktowali go polskiemi zrazami; wesołość przy krążących kielichach ocknęła się w duszach tułaczy; po miotanych przekleństwach na Targowicę, Adam Walewski z dużym kielichem wnosi detronizacyę Stanisława Augusta, i ofiaruje godność królewską księciu Augustowi Sussex, chór Polaków powtórzył: Niech żyje August IV.! i daléj-że na klęczkach składać przysięgę wierności. — Rys ten jakże trafnie maluje usposobienie nasze.

Wielkie wypadki gotowały się w kraju — wieści o tém dochodziły do tułaczy przez różnych wysłańców; jednakże sam Niemcewicz przyznaje — że gdy uczynił jednemu z takich ajentów Jelskiemu, pytanie o liczbie wojska, zapasach pieniężnych, duchu publicznym, poznał, że więcéj było zapału, niż rzeczywistego przygotowania i nadziei, by się rzeczy udały. Tak samo sądził Zajączek, a nawet Kościuszko. Mimo tego wybuch nastąpił. Niemcewicz dopiero późniéj przybył i już był świadkiem oblężenia Warszawy. Zajmujące są szczegóły niezmordowanéj czynności Kościuszki, jego narażanie się w wycieczkach do odległych korpusów, jak np. do Grodna, gdzie tylko sam z Niemcewiczem przedzierał się pośród snującego się kozactwa. — Podobnież po bitwie pod Krupczycami pędził do obozu Sierakowskiego, albowiem doszła wieść, że jenerał Fersen przeszedł Wisłę pod Maciejowicami i zamierzał złączyć się z Suwarowem. — Tu następuje szczegółowy i jedyny opis bitwy maciejowickiéj, podaję go jako obraz skreślony przez naocznego świadka:

„Z południa przybył Molski gońcem od jenerała Dąbrowskiego z urzędowém doniesieniem o wzięciu przez niego Bydgoszczy i zniesieniu korpusu pruskiego pod Sekulim. Napisałem wraz rozkaz dzienny, donosząc wojsku o tém zwycięstwie, zachęcając je, by się nabytéj sławy przez towarzyszy broni w stoczyć się mającym boju stali godnymi. Ku wieczorowi przestał dészcz padać, wypogodziło się niebo. Żołnierze broń nabili na nowo. Przechodziłem się z towarzyszami mymi szkolnymi jenerałami Kniaziewiczem i Kamińskim. Wśród rozmowy, postrzega Kamiński dwa kruki, lecące po prawéj ręce naszéj, zła to dla nas wróżba. — Nie wierzę jéj, rzekłem, mam jakieś przeczucie, że się nam powiedzie. Ah! jak się okropnie zawiodłem!

Dzień 9go października równie był jasny, jak dżdżysty poprzedzający. Zrana pułkownik Krzycki przybył do obozu naszego z dwoma pięknemi pułkami piechoty, wysłanemi z Warszawy. Znużony gwałtownym nocnym pochodem żołnierz, pomrukiwał nieco, lecz rozdana żywność i wódka, powróciła dobry humor. Siły nasze w ten czas wynosiły do 5,600 ludzi i 24 dział. Przybył z nim także S. Fiszer, dawny adjutant Kościuszki. O dziewiątéj zrana ruszyło wojsko naprzód; o czwartéj wyruszyliśmy z lasu i przybliżać zączęli do Maciejowic. Naczelnik ze mną i kilkoma ułanami posunął się naprzód, by rozpoznać nieprzyjaciela. Ujrzeliśmy wkrótce nieprzyjacielskie wojsko. Rozciągał się obóz jego nad brzegiem Wisły, jak tylko oko zajrzeć mogło. Lubo odległość nie dozwalała dobrze rozeznawać przedmiotów, wspaniałym był widok ten. Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się jasno o bagnety piechoty, rżenie koni, gwar niezmiernego mnóstwa tego napełniający powietrze, miał w sobie coś przerażającego. Rzuciliśmy na prędce strzelców naszych, po obu stronach boczącego nas lasku. Przednie czaty nasze zaczęły z kozakami utarczkę na równinie rozciągającéj się od Wisły do wzgóra, na którém stoi dom Maciejowic; nasi zabili kilku kozaków i obdarli natychmiast z trzosów, zawierających same monety polskie. Na widok ten leci w zawód ich oddział w szyku pół księżyca (jak jest zwyczaj kozacki) przeskrzydla nas, zewsząd otacza, nagli tak, że dzidy kozackie tuż widzieliśmy za sobą i niepojmuję, jak niebyliśmy schwytani, szczęściem pokazanie się szwadronu pułku Kamińskiego, zagroziło kozakom tak, że się w tył cofnęli; o piątéj uspokoiło się wszystko, całe wojsko nasze ściągnęło na miejsce.

Wieś Maciejowice, dziś Podzamcze zwane, leży w nizinie, lecz sam dom murowany na wzgórzu, naprzeciw Wisły, długa grobla prowadzi do niego; po prawéj ręce rzeczka Okrzeja, po lewéj błota i zarośla. Położenie to zdało nam się wyborném. Całe siły nasze umieściły się na wzgóru, od domu postawiono działobitnię, przeszywającą całą długość grobli, dwa pułki filizierów i pułk Działyńskiego były pod dowództwem jenerała Sierakowskiego; zesztę okręgu napełniła piechota, brygada jazdy Kopcia, ułany Kamińskiego, dwa szwadrony jazdy gwardyi koronnéj i iyleż milicyi wojawództwa brzeskiego lit., wszystko pod dowództwem jenerała Kniaziewicza. Rozkazał naczelnik w kilku miejscach posypać wały, lecz noc zaskoczyła, gdy je ledwo zaczęto. Całe wojsko zostało przez noc pod bronią. Podwojono czaty, każdemu konnemu przydano strzelca pieszego. Poczyniwszy te rozporządzenia, udaliśmy się do pomienionego powyżéj domu.

Nie wierzę odtąd przeczuciom. Była to wigilia jednego z najnieszęśliwszych dni życia mego, dnia, w którym straciłem mą wolność, a co stokroć boleśniejszém, dnia, w którym ojczyznie mojéj cios śmiertelny zadany; przecież byłem spokojny, co więcéj wesoły.

Pałac murowany, do któregośmy się schronili, był zrabowany i zniszczony, jak wszystkie te, przez które przechodzili Moskale. Maciejowice w dawnych czasach należały do rodu Maciejowskich, późniéj do Potockich, od których je nabył Andrzéj Ordynat Zamojski. Sala górna ozdobiona była portretami prymasów, kanclerzów, hetmanów, biskupów, wszystkim tym wizerunkom Moskale powykalali oczy dzidami, szablami porąbali twarze. Nieznaleźliśmy już biblioteki, zabrali ją oficerowie moskiewscy, skrzynia tylko jedna, zawierająca małe druki i zbiór gazet polskich z początku XVIII. wieku, leżała rozbita, a zawarte w niéj gazety, zawalały kaplicy posadzkę. Między innemi natrafiłem gazety donoszące o śmierci Augusta II. i dziennik sejmu konwokacyjnego. Nadęty styl, pełne makaronizmów łacińskich peryody, pobudzały mię do śmiechu: wziąłem z nich kilka arkuszy, i przy wieczerzy czytałem Kościuszce. Rozmawialiśmy o dniu jutrzejszym, o trudnościach, jakie znajdują Moskale w atakowaniu nas. O drugiéj z północy obudził mię Kościuszko i napisać zlecił rozkaz Ponińskiemu, by jak najprędzéj pospieszał złączyć się z nami. Niestety! już to było za późno, za daleko zostawiony, niemógł już zdążyć, i z téj strony wolnym być powinien od posądzań i winy.

O samym świcie adjutant od służby Kuniewski dał nam znać, że nieprzyjaciel w szyku wojennym postępuje naprzód. Szczupłe wojsko nasze do przyjęcia go wkrótce było gotowém. W minutę jużeśmy byli na koniach. Naczelnik postrzegłszy w tyle naszym wioskę, by jéj nie opanowali Moskale, kazał ją zapalić. Nie zapomnę nigdy okropności widoku tego, obejmują wieś tę płomienie, wznoszą się nad nią kłęby dymu czarnego, wieśniacy, kobiety z dziećmi na łonie, bydło, ptastwo, ucieka we wszystkie strony, napełniając powietrze płaczem i jękami.

Moskal mając działa większego kalibru, pierwszy kulami swemi nas dosięgać zaczął. Ogromne te kule z strasznym łoskotem, przedzierając się przez drzewa i krzaki, łamały je i okrywały nas oderwanemi gałęziami. Niemieliśmy jak trzy lub cztéry 12to-funtowe działa. Skoro nieprzyjaciel na ich dosięgnienie zbliżył się, wypuściliśmy z nich ogień; sam je naczelnik celował, z takim skutkiem, iż widać można było chwiejące się szyki. Przez trzy godziny mieliśmy nad nieprzyjacielem górę, tak dalece, tż przystąpiwszy do naczelnika jenerał Sierakowski, rzekł: zdaje się, że Moskaluszki zabierają się do odwrotu. — Wkrótce pokazało się przeciwnie: w czwórnasób liczniejsi od nas i w ludziach i w działach, stratę ludzi licząc za nic, nie zważając ni na trudności przystępu, ni na morderczy ogień nasz, coraz zbliżali się więcéj. Ogień ich stawał się prędszym i coraz straszniejszym. Grad kul i i granatów, gwiżdżąc bez ustanku około uszu, padał pomiędzy hufce nasze, niepojmowałem, jak w porównaniu gęstości kul tych nie więcéj ludzi padało. Ze wszystkich stron śmierć latała koło nas. Za większém zbliżeniem się nieprzyjaciela, z ręcznéj strzelby gęsty z obu stron zaczął się ogień, okrywała się ziemia trupami, przerażały powietrze jęki ranionych i konających, żaden atoli z naszych nieopuścił miejsca, na którém walczyć zaczął. Już pobito konie od dział, już wypróżniono amunicyą, gdy pułkownik Krzycki niemogąc dłużéj utrzymać stojącego przez sześć godzin na jedném miejscu żołnierza, ruszył naprżód i przerwał stykające się dotąd z sobą szyki. Stał się roztwór, pobiegłem do Kościuszki, oznajmując mu, że nieprzyjacielska jazda, już do luki téj zbliża się w zawód, sam zbliżam się do szwadronu powstańców brzeskich lit. i zachęciwszy ich, rzucam się naprzód, gdy kula z pistoletu przeszywa mi na wskróś rękę prawą powyżéj łokcia, wypada mi oręż, krew leje się obficie, Boga atoli biorę na świadectwo, że widząc lejącą się krew moją pierwszém uczuciem mojém, był nie ból rany, lecz jakaś pycha, żem nią się broczył w obronie lubéj ojczyzny mojéj.

Lecz ta radość, ta patryotyczna pycha, ustąpiły wkrótce boleści, gdym ujrzał zupełną przegraną naszą. Oddział milicyi, którym prowadził, zszedł z pola. Wszędzie pomięszanie i nieład. Już całe wojsko moskiewskie następowało i otaczało nas zewsząd; piechota nasza, acz przerzedzona, walczyła jednak, kłuła się z Moskalami ustępując ku pałacowi, na dziedzińcu onego, na ganku, w piwnicach nawet. W pośród téj rzezi, naczelnik stara się zebrać resztę jazdy naszéj, wtém koń zabity pada pod nim, poddają mu świeżego, odpieramy jeszcze na chwilę kozaków, lecz cała masa dragonów moskiewskich wpada na nas, oficer chwyta konia mego za cugle; raniony, bez oręża, daléj bronić się niemógłem, stałem się jeńcem.

Oficer ten zaprowadził mię do pobliskiego lasku i tam stał się mym szatnym; wziął mi naprzód zegarek i worek z pieniędzmi, zdejmując skrwawioną mą kurtkę, postrzegł piękny pierścień antyk na palcu moim, rzucił się nań chcąc go zdjąć, lecz ręka i palec, z przyczyny odniesionéj rany, krwią nabiegłe, czyniły rzecz trudną. Oficer jął się do prędszego sposobu: włożył palec mój w gębę i chciał go wraz z pierścieniem odgryźć; czując

już żeby jego: — poczekaj, zawołałem, ja go sam zdejmę. Jakoż dobrze pośliniwszy ów palec, acz z ciężkością, zdjąłem pierścień i oddałem mu go; tu nic już niemając do wzięcia, zdjąwszy mundur z zabitego żołnierza, narzucił go na mnie i puścił. *(Dok. nast.)*

Obrazek dramatyczny.

Niniejszy obrazek dramatyczny jest płodem pióra znakomitéj a nieznanéj autorki — skromność jéj ukryła nazwisko za życia — a teraz, gdy ją śmierć z żalem powszechnym zabrała, taż sama cześć dla jéj skromności każe nam je utaić po zgonie. Ktokolwiek pamięta *Rozrywki dla dzieci* — pismo, na którém wychowało się niejako dzisiejsze pokolenie matek; przypomni sobie kilka wdzięcznych poezyj, jak *Dwa pługi*, *Gwiazda*, oznaczonych początkowemi głoski; — były one utworem naszéj autorki. Odtąd prace jéj nigdzie prawie nieogłaszane, znalazły się w rękopisach. Z tych najznaczniejszą jest powieść: *Przygody Zosi*, mająca niebawem wyjść na widok — utwór pełen prostoty i wdzięku, napisany z tém delikatném cieniowaniem uczuć i charakterów, jaki tylko bywa własnością lepszych piór niewieścich. Dwa obrazki dramatyczne: *Kolenda i Podwieczorek na wsi*, każą nam żałować, że autorka niezostawiła ich więcéj; w tym bowiem rodzaju literatura nasza niezmiernie jest ubogą. — Do większych jéj prac należą cztéry tomy wybornych kazań księdza Maccarthy w polskim przekładzie. Jakże drogą jest ta spuścizna pobytu jéj na ziemi! Wdzięk i pożytek spływa z niéj i pamięć zgasłéj uświęca.

KOLENDA

Osoby: Stanisław. — Wanda, jego żona. — Władyś, Kazio, Jadwiga, ich dzieci. — Pani Dobrzyńska, ochmistrzyni dzieci.

Teatr wyobraża salon, w którym, prócz innych mebli, jest stolik kwiatami przyozdobiony, na którym leży książka pięknie oprawna, i ogromna lalka. Przy stolika zaś, stoi duży konik drewniany.

Scena I.

Wanda. — Pani Dobrzyńska.

Wanda. A cóż pani Dobrzyńska: czy nasze dzieci już przebudzone?

Pani Dobrzyńska (z powagą). O, i jak dawno! Od dwóch godzin już szczebiocza o dzisiejszych zabawach. Szkoda, że do nauk nie są tyle skwapliwemi!...

Wanda. Czyż im się dziwić można? Wszakże i nas, lubo więcéj rozsądku mamy, radość zawczasu budzi. Dosyć oni jeszcze będą mieli czasu, do nurk i zmartwień!...

Pani Dobrzyńska (zgorszona). Zmiłuj się pani! usłyszeć nas mogą, a pewnie wtedy już się więcéj nigdy uczyć nie zechcą.

Wanda. Uspokój się Wpani: ani nas słyszą, ani usłyszeć mogą. W wielu względach chwałę jéj gorliwość i pojmuję obawy: lecz są dnie w życiu, które koniecznie dzieciom uprzyjemniać trzeba. Gdy albowiem smutne doświadczenie, przyciśnie kiedyś ich serca i zaćmi wesołe wyobraźnie, dobrze, że wspomnienie tych chwil przelotnych, choć promykiem dawnego szczęścia, życie ich rozjaśni.

Pani Dobrzyńska. Przyznam się pani, że ja nic nierozumiem tych wyszukanych myśli, co to z pięknych się wyrazów składają, a nad któremi długo myśleć trzeba, żeby je sobie wytłomaczyć. Prawdziwie, że mnie nic w pani moich dawnych nauk nie przypomina.

Wanda (z czułością). Przywiązanie moje i wdzięczność, przekonywać Wpanią powinny, że pamiętam, ile ci winna jestem. Lecz dajmy temu pokój: i powiedz mi Wpani, czy dzieci nasze przeczuwać się zdają przeznaczone im podarunki?

Pani Dobrzyńska. Nie, bynajmniéj. Marzy im się coś tylko o tańcu, o grach i o przysmaczkach różnych, których się dzisiaj spodziewają. Ale co ich najwięcéj zajmuje i niespokojnemi czyni, to sposób, w któren rodzicom Nowego-Roku powinszują. Czy niepozwoliłaby pani, żebym im kazała napamięć się nauczyć owych ładnych wierszyków francuskich z przeszłorocznego kalendarzyka, lub jakiéj bajeczki Krasickiego? albo...

Wanda (przerywając). Nie, kochana pani Dobrzyńska: niech nic nieprzekształca ich niewinnéj prostoty. Niech nieznają innéj wymowy, jak tę, którą im własne poddawać będą uczucia. Kształcąc dowcip, często się ujmuje czułości serca; a jednak to jedynie do przekonania trafić może, co istotnie z przekonania pochodzi.

Pani Dobrzyńska. No, to i dobrze, kiedy pani tak chcesz koniecznie. — Panie-Boże odpuść! zawsze mi się zdaje, że mówię jeszcze z tą młodą i dobrą Wandeczką, którą mi wolno było napominać.

Wanda. Nic to nieszkodzi: przekładam nierównie szczérość nad uszanowanie. Lecz cóż tam robią moje dzieci? Tak długo są same! Bądź Wpani tak dobra, pójdź do nich, i przyślij je tu do mnie za chwilę, nie wspomniawszy im o przeznaczonéj kolendzie. Chcę być świadkiem ich zadziwienia i pierwszego uniesienia radości.

Pani Dobrzyńska pokłoniwszy się nisko, odchodzi.

Scena II.

Wanda sama, (patrząc na zégarek). Już dziewiąta godzina, a mego męża jeszcze dzisiaj niewidziałam!... Ubiega się za urojonemi obowiązkami: chce, żeby go wszędzie lubiono, wszędzie grzecznym znajdowano, a szczérego przywiązania, istnego szczęścia, cenić nie umie. Jakże się smutnie ten rok dla mnie zaczyna!.. Czyż go nic od przeszłego nie odznaczy?... Wszyscy się naokoło mnie cieszą i weselą; ja sama tylko trwożę się tym zaczynającym się rokiem, jak żeby troski i cierpienia, rozrzucone na ten długi przeciąg czasu, wszystkie się w tym dniu do mego serca wciskały. Ale któż nadchodzi!... może to on: ach! pewnie on, bo tak spiesznie idzie!... Niesprawiedliwie się na niego użalałam.

Scena III.

Stanisław. Wanda.

Stanisław wchodzi z pospiechem: trzyma w ręku kapelusz i laseczkę, i z roztargnieniem do Wandy się zbliża.

Stanisław. Dzień dobry Wando! Masz-że jeszczcze z kilka tych ładnych biletów, z powinszowaniem Nowego-Roku? Daj mi je, proszę cię, bo mi są potrzebne.

Wanda zwolna i zamyślona, idzie do stolika: lecz niedoszedłszy do niego, zastanawia się i spogląda z nieśmiałością na Stanisława — mówiąc:

Stanisławie! dziś Rok-Nowy się zaczyna!...

Stanisław. Wiem o tém, i dla tego cię proszę o bilety.

Wanda. I dla tego téż, żadnego mi nieoświadczasz życzenia...

Stanisław (obojętnie). To tylko szczęśliwym przystoi małżeństwom.

Wanda. Mylisz się Stanisławie: tym już nic nie pozostaje do życzenia.

Stanisław. Jakże chcesz, żebym z tobą poranki przepędzał, kiedy mię zaraz jakiemiś wymówkami zasmucasz? Sądzę, że niemasz przyczyny użalania się na mnie: wszakże cię sam namawiam na bale, teatra? Wszakże ci niczego nie zabraniam, niczego nie żałuję!... Lecz gdzie są bilety?...

Wanda podaje mu je, i odwróciwszy się od niego, ukradkiem łzy ociera, mówiąc na stronie:

Niech tych łez nie widzi, obraził by się niemi!

Stanisław (niespokojny). Co tobie Wando? Ty płaczesz!

Wanda (pomieszana). Trochę mię dzisiaj głowa boli: wieczór wczorajszy trwał nazbyt długo, a ty wiesz, że mi bezsenność szkodzi.

Stanisław (zniecierpliwiony). To tak jak i mnie. Wymawiasz mi nieraz, że miasto lubię, że się zabawom oddaję, a ja ci ręczę, że mi się to bezczynne życie tak bardzo przykrzy *(po krótkiém zastanowieniu się)*, że umyśliłem za kilka dni zupełnie na wieś wyjechać.

Wanda (z radością). Więc pojedziemy na wieś!...

Stanisław. Ja nie mówię, że pojedziemy: tylko że ja pojadę; bo wprawdzie nie tyle mnie jeszcze miasto nudzi, jak twoje ustawiczne wymówki. Niechcąc cię przeto pozbawić przyjemności, które tu bezemnie znajdować możesz, sam wyjadę, i pozwolisz, że z sobą zabiorę naszego starszego syna.

Wanda. Co! i ty mnie chcesz tutaj samą zostawić?...

Stanisław. Tak jest. Sądzę nawet, że odzyskana wolność, tak nam przyjemną wspólnie będzie, że i nadal ten sposób życia przybierzemy.

Wanda. Co słyszę, o Boże! i ty tak spokojnie o tém mówisz!... Już niemożesz być ze mną szczęśliwym, i Władysia mi zabierasz!...

Stanisław. Przyznam ci się Wando, że go wolę zawczasu z rąk twoich usunąć. Zbyt miękie i romansowe dajesz mu wychowanie. Niepamiętasz o tém, że on kiedyś na wszystkie nawałności życia wystawiony, niejedno cierpienie znosić, niejedno utaić przymuszonym będzie.

Wanda. Niemniéj pragnę od ciebie, żeby był mężnym i wytrwałym na własne cierpienia: lecz niech umie nad cudzemi się litować!...

Stanisław. Dobrze; przytyk po przytyku!... *(z gniewem)* Otóż, kiedy mnie do tego zniewalasz, przyznam ci się także w téj chwili, że mi się niewypowiedzianie przykrzy, widzieć cię zawsze otoczoną zgrają dzieci. Ani do ciebie przystąpić, ani z tobą mówić można, wśród wrzawy, która się zwykle na około ciebie rozlega.

Wanda. Jeżeli ci tylko o to chodzi, w tych tylko godzinach bawić się będę z dziećmi, kiedy ciebie nie będzie.

Stanisław (z urąganiem). Więc będziesz pragnęła wtedy, ażebym jak najczęściéj z domu wychodził. Niepotrzebujesz Wando, nieszczęśliwą udawać ofiarę. Powiedziałem ci raz, że na wieś wyjeżdżam, a wiesz, że raz danego słowa, nigdy na próżno nie cofam.

(Tu słychać w oddaleniu radosnych dzieci okrzyki, które się coraz bardziéj zbliżać zdają.)

Wanda (pomieszana). Otóż i dzieci nasze dochodzą. Wyjdźmy stąd Stanisławie; ty wrzawy nielubisz!... Zaklinam cię: przejdźmy do innego pokoju! Niechcę żeby mnie dzisiaj, moje dzieci, ani smutną, ani pomieszaną widziały.

Stanisław (z żywością). Dla czegóż mamy stąd odchodzić?... Lubię téż czasem i na wesołe spoglądać istoty. Ja chcę tu zostać...

Wanda. Wszakżeś mówił przed chwilą, że cię hałas razi, że ci dzieci przeszkadzają?

Stanisław (rozgniewany). W saméj rzeczy, tak mówiłem, i tak jest. Ale patrz, Wando, do czego mnie przyprowadzasz!... tak jestem przez ciebie zniechęcony, że niejestem nawet wstanie z własnemi zabawić się dziećmi.

(Wychodzi z gniewem; Wanda za nim odchodzi: lecz przed wyjściem, spoglądają oboje nieznacznie na drzwi, któremi dzieci wchodzić mają.)

Scena IV.

Władyś. — Kazio. — Jadwisia.

(Wchodzą skacząc i śpiewając; lecz spostrzegłszy zabawki na stole ustawione, biegną razem do nich, wołając):

Co to jest, co to jest? patrzcie! patrzcie! to dla nas być musi!...

Władyś. Ach! jaka piękna książka: to pewnie dla mnie!

Kazio (z westchnieniem). Ach! żeby téż ten konik był moim!...

Jadwisia. Ta lalka, to tylko moją być może.

(Każde z nich bierze przeznaczoną sobie zabawkę i bawi się nią.)

Kazio. Ale my to sobie zawczasu przywłaszczamy, a to może nie nasze...

Władyś. O to pewnie dla nas. Ja zaraz poznałem, że tu coś na nas czekać musi. Pani Dobrzyńska tak zacierała ręce, tak nas tu spiesznie wyprawiała...

Jadwisia. Ale kto nam to wszystko daje?

Władyś. A któż, jeżeli nie papa i mama!... Któż jest tak dobrym, jak oni; któż tyle o nas pamiętać może!...

Kazio. Mój konik zupełnie jak żywy!

Jadwisia. A moja lalka, zupełnie do mamy podobna! Muszę jutro zaraz Dobrusię prosić, ażeby jéj sukienkę uszyła. Będzie się nazywać Rózia.

Władyś. Wiecie co? mnie tylko jedna rzecz smuci. Mama i papa tak są dla nas dobrzy, a my jeszcze żadnego dla nich powinszowania nieumiemy!...

Kazio. Moglibyśmy prosić Dobrzyńsią, żeby nas jakiéj bajeczki nauczyła...

Władyś. Jakie też z ciebie dziecko!... A na cóż się przyda bajeczka? tu prawdy trzeba.

Jadwisia. Szkoda, że nie od kogo innego mam lalkę: zaraz bym ją mamie darowała.

Kazio. Żeby papa był taki maleńki jak ja, tobym mu zawsze pozwalał jeździć na moim koniku.

Władyś. Ej, gdzietam! Alboż to papa i mama takie dzieci jak wy... Ale, pokażcie no! niepamięta które z was, tego powinszowania, cośmy się niedawno dla babuni uczyli?

Kazio. Cóś tam było o długiém życiu!...

Jadwisia. O szczęściu!...

Władyś. Wiem ci ja o tém: ale mnie się zdaje, że jest więcéj jak jedno szczęście: radbym wiedzieć, które jest najlepsze: bobym chciał papie i mamie jak najlepiéj życzyć.

Jadwisia. Oto idzie Dobrzyńsia; ona nam powie, jakie jest najładniejsze szczęście.

Władyś. Cóż ty mówisz, najładniejsze: mów, najlepsze.

Jadwisia. To wszystko jedno.

SCENA V.

Pani Dobrzyńska. Władyś. Kazio. Jadwisia.

(Dzieci porzucają zabawki i biegną naprzeciwko pani Dobrzyńskiéj, wołając):

Dobrzyńsiu! Dobrzyńsiu! jakie szczęście najlepsze?

Pani Dobrzyńska, (zatykając sobie uszy). Wielki Boże!... jakiż to hałas!.. Czemuż wszyscy razem mówicie? Czegóż chcecie?... Czy się pali? Czy się co złego lub dobrego stało?...

Wszystkie dzieci razem. Które szczęście najlepsze?...

Pani Dobrzyńska (przerażona, raptem uszy odtyka). Co za nieszczęście się stało?

(Dzieci w głos się śmieją.)

Kazio (ze śmiechem). A to Dobrzyńsia prawdziwie sobie uszy zatkała?...

Pani Dobrzyńska. No, i czegóż się znówu śmiejecie?...

Dzieci (śmieją się znowu i mówią razem). Kiedy nas Dobrzyńsia nierozumie.

Pani Dobrzyńska. Rozumiałbym was, gdybyście porządnie, cicho i zwolna mówili. No, gadajcie po kolei, Władyś, jako najstarszy, niechaj zaczyna.

Władyś. Oto, moja Dobrzyńsiu, chcielibyśmy wiedzieć, jakie jest najlepsze szczęście?

Pani Dobrzyńska. Najprzód, radbym wiedzieć, co wy rozumiecie przez ten wyraz?

Władyś. A nam właśnie chodzi, nie to, co Dobrzyńsia rozumie; bo my jeszcze bardzo mało rzeczy znamy.

Pani Dobrzyńska. A na cóż wam potrzeba najlepszego szczęścia?

Kazio i Jadwisia (razem). Dla papy i mamy!

Władyś. Naucz nas tego, moja Dobrzyńsiu, a ja ci za to przyrzekam, że wszystkiego potém chętniéj i lepiéj uczyć się będę.

Pani Dobrzyńska siada z powagą, kilka razy przesuwa rękę po czole, i zdaje się być głęboko zamyśloną.

Kazio. A co Dobrzyńsiu, czy ty tego niewiesz?

Pani Dobrzyńska (obrażona). Jakbym ja też mogła tego niewiedzieć? Nie nad tém ja się zastanawiam; ale myślę, jakby wam to wytłomaczyć.

Jadwisia. O, Władyś to pewnie pojmie!...

Pani Dobrzyńska (prostuje się, krząka i mówi). Oto tak, moje dzieci; szczęście jest czém inném dla każdego człowieka. Wy go macie, ale się na nim nieznacie. Jest tyle rodzajów szczęść, ile ludzi na świecie.

Władyś. Ale najlepsze!

Pani Dobrzyńska. Dla poczciwych ludzi, największém szczęściem jest, być dobrym, mieć wszystkiego dosyć *(dzieci się pilnie przysłuchują)*, być kochanym od tych, których się kocha, i nigdy się z nimi nierozłączać.

Wszystkie dzieci razem. Ach! jakżeż to pięknie!

Kazio. Naucz się tego Władysiu!

Władyś (zamyślony). Mnie się zdaje, że niepotrzeba tego wsystkiego napamięć się uczyć.

Pani Dobrzyńska. A to dla czego?

Władyś. Zaraz ci powiem Dobrzyńsiu: a przyznasz, że się nie mylę. Wszakże papa i mama są dobrzy? a więc niepotrzeba im tego życzyć...

Kazio i Jadwisia (razem). Prawda! prawda!

Władyś. To raz: a potém, wszakże papa i mama, mają wszystkiego podostatkiem?...

Kazio. O zapewne! bo jeszcze i drugim udzielają!

Władyś. Więc ja tu tylko powiem: papo i mamo! kochamy cię, i będziemy zawsze razem!

Pani Dobrzyńska. Wszakże to sensu niema: rodzice cię niezrozumieją!...

Władyś. O zrozumieją! ja tak czuję co mówię!...

Kazio. Co to się znaczy, że oni tu nieprzychodzą?...

Jadwisia. Jeżeli Dobrzyńsia pozwoli, to ja pobiegnę po nich.

Pani Dobrzyńska. Cóż tak pilnego? jest czas na wszystko! Lecz za to, żeście już od kilku dni grzeczni i posłuszni, zezwalam na wasze żądanie. Niech które z was pójdzie prosić tutaj rodziców.

Jadwisia (rzucając się w objęcia pani Dobrzyńskiéj). Dziękuję ci, moja złota, moja brylantowa Dobrzyńsiu! kocham cię z całego serca! *(wybiega.)*

SCENA VI.

Pani Dobrzyńsha. Władyś. Kazio

Pani Dobrzyńska *(na stronie)*. Te dzieci mają nadto wolności! lecz cóż mam robić? Rodzice sobie tego życzą. Jednym się rozkazuje, drugich się słucha!... Coś mi się pani dzisiaj bardzo smutną wydawała!... Szkoda, że jest tak skrytą, iż nigdy dowiedzieć się niemożna, co ją martwi?

Gdy to pani Dobrzyńska, sama do siebie mówi, dzieci pocichu z sobą rozmawiają. Zdaje się, jakoby się Władyś czegoś douczał.

Władyś. Już umiem: nawet bym niemógł zapomnieć.

Kazio. Jak to będzie pięknie! aż mi się płakać chce!...

Wtém drzwi ciągle się otwierają: widać Wandę i Stanisława; Jadwisiu pomiędzy nimi, trzyma ich mocno za ręce, i zdaje się, ich niejako za sobą pociągać. Nareszcie wchodzą po małym op orze.

SCENA VII.

Wanda. Stanisław. Pani Dobrzyńska. Dzieci.

Stanisław, (podzielony między śmiechem a niecierpliwością). Dla czegóż koniecznie mamy być razem?...

Władyś i Kazio (biegnąc naprzeciwko rodziców i rzucając im się na szyję). Bo nam tego potrzeba, żebyście byli razem!..

Wanda. Cóż to ma znaczyć? Czegoż wy od nas chcecie?

Władyś (z nieśmiałością i rozczuleniem). Dobrzy rodzice! kochajmy się wszyscy, i bądźmy zawsze razem!

Kazio i Jadwisia (powtarzają). I bądźmy zawsze razem!

Wanda i Stanisław (ściskając dzieci). Dobre, kochane dzieci!...

Stanisław (na stronie). Pewnie ich Wanda tego nauczyła!

Wanda na stronie. Stanisław rozumieć będzie, że ja to wymyśliłam.

Stanisław i Wanda siadają na kanapie, wskazując dzieciom, żeby się do nich zbliżyły. Dzieci się do nich przytulają. Pani Dobrzyńska opodal siada.

Stanisław (z niejaką surowością). Dzieci, kto was tego powinszowania nauczył?

Wanda. Wszakże nie ja moje dzieci?...

Stanisław. Pozwól Wando, niechaj mi Władyś na to odpowie.

Władyś. Dobrzyńsia mię nauczyła: a jam sobie wybrał.

Wanda. Jakżeś to sobie wybrał?

Władyś. Oto tak, mamo: Dobrzyńsia kilka szczęść mi wyliczyła, a jam sobie dwa wybrał.

Stanisław. Wytłómacz się inaczéj Władysiu!

Władyś. Kochany papo, tak jestem teraz pomięszany, że zaledwie mówić mogę. Oto tak widzicie! Mnie się zdaje, że jesteśmy dosyć dobrzy, że macie wszystkiego zadosyć: ale że niemożemy się dosyć kochać, i być nadto z sobą razem.

Stanisław (na stronie). Tak, jak żeby dla mnie naumyślnie.

Wanda (na stronie). Mój mąż się będzie gniewał.

Pani Dobrzyńska. Widzisz Władysiu, że rodzice nie są kontenci z twego powinszowania.

Kazio. Co, doprawdy? *(do rodziców)* Czy się gniewacie na Władysia? My to wszyscy razem ułożyli.

Jadwisia. Władyś temu niewinien!...

Stanisław (na stronie). Podobno ja tu tylko jeden winien jestem!...

Wanda. Moje dzieci, jakże wy nam życzyć możecie, żebyśmy się kochali: alboż my się to nie kochamy?... Alboż my to niejesteśmy szczęśliwi?...

Kazio. I owszem: papa i mama się bardzo kochają! *(trąca Władysia)* no, mówże Władysiu, bo ty masz więcéj rozumu jak ja.

Władyś. Mówiłbym, ale nieśmiem...

Stanisław. Niebój się, mów wszystko.

Włdyś. Oto tak papo, tylko się nie gniewaj na mnie, proszę cię. Mnie się zdaje, że mama nigdy nie jest tak wesoła, jak kiedy jest z papą; a kiedy go niema, tak jest smutna, tak wzdycha, tak często chodzi do okna! nic ją wtedy nie bawi!...

Kazio. O, co to, to prawda. Ale też i papa bardzo mamę kochać musi, bo jak mama co czułego gra lub śpiewa, to papa tak nam cicho być każe, i sam tak cichuteńko siedzi!... Mnie się nawet widzi, że papa dla tego wtenczas udaje, że książkę czyta, żebyśmy niespostrzegli, że ma łzy w oczach.

Wanda (na stronie). Byłabyż to prawda?...

Stanisław (na stronie). Tym dzieciom nic ukryć niemożna: wszystko wypatrzyć muszą...

Jadwisia (do Braci). A uważaliście, że kiedy mama wesoła, to się papa uśmiecha, a że kiedy papa smutny, to mama płacze?...

Władyś. Widzisz papo, że my się wszyscy na jedno zgadzamy. *(ośmielając się coraz bardziéj.)* No, niech papa tylko sprobuje spojrzeć na mamę, i uśmiechnie się, a zobaczy, jak się jéj twarz zaraz rozweseli!...

Stanisław pomimowolnie spogląda na Wandę, uśmiechając się: lecz ona ma spuszczone oczy, i zdaje się być bardzo pomieszaną.

Kazio. Mamo! spojrzyj na papę: zobacz jak się pięknie uśmiecha!... Cóż to się stało, że ty dzisiaj płaczesz, kiedy papa wesoły?...

Jadwisia. Patrz się prędko mamo, bo się papa zasmuci!...

Stanisław i Wanda mocno poruszeni, wstają z kanapy, spoglądają na siebie z rozrzewnieniem, i rzucają się w objęcia jedno drugiego.

Stanisław. Wando! My podobno szczęśliwi jesteśmy!...

Wanda. O, ja dawno wiem o tém!.. aleśmy oboje dotąd czuć tego nieumieli *(oddalając się trochę od dzieci)*. Przepraszam cię Stanisławie, byłam nieraz podejrzliwą, wymagającą!..

Stanisław (z czułością). Nie Wando, tyś zawsze dobrą była. Ja to byłem oziębłym, nieczułym: to jest, takim się chciałem wydawać. Obawiałem się albowiem, aby mnie nie przymu-

szono szczęśliwym się uczuwać. Dzieci nasze atoli, niechący tego dokazały. Wando! oni nam dobrze życzą: nierozłączajmy się nigdy!...

Wanda. Oh! tak; niech nas już nic nadal nierozłącza!...

Stanisław, (obracając się do dzieci). Dobre, kochane dziateczki, zbliżcie się do nas! niech wam podziękuję za wasze życzenia; nieuwierzycie, ile dobrego w sobie zawierały. Lecz, i my także musimy wam powinszować *(ściskając dzieci)* Drogie dzieci! Obyście zawsze postępowali drogą szlachetności i cnoty! Obyście stale zawsze pełnili obowiązki swoje, i nie pragnęli nigdy innego szczęścia na ziemi, jak to, które nam dzisiaj wasze życzenia wróciły!

Wanda i Stanisław czule ściskają dzieci; pani Dobrzyńska rozczulona, do nich się zbliża; kurtyna zapada.

Odkrycie w botanice Sumińskiego.

Paprocie, składające rodzinę jednę z liczniejszych i nader zajmujących, znajdują się prawie we wszystkich częściach ziemi, gdzie tylko jest dosyć wilgoci, a ciepłota nie bardzo niska. Z naszych krajowych niemożna powziąść dokładnego o nich wyobrażenia, ale rosnące na wyspie Ś. Heleny, na Filipinach lub innych jeszcze miejscach — gdzie kłąb ich podziemny wyrastając nad poziom w postaci pnia wspaniałego, śmiga wysoko w górę na 10—50 a nawet 60 stóp, ozdobiony na wierzchu pękiem listowia pięknie wcinanego — ubiegają się o pierwszeństwo nawet z palmami w piękności i wspaniałości. Inne gatunki, jak np. tak zwana zajęcza nóżka (Pied-de-liévre) rosnąca na wyspach Kanaryjskich, zadziwiają szczególnym swym kształtem, a wszystkie podobają się z delikatności, piękności i żywości listowia.

Niemamy tu wcale na celu robienia szczegółowego przegladu rodziny paproci, lecz poprostu podajemy najświeższe spostrzeżenia co do ich owocowania czyli rozmnażania się — a co dotychczas było dla nas tajemnicą.

Wiadomo, że w roślinach jawno-płciowych upłodnienie odbywa się w skutek działania pyłku na znamię. W paprociach to, co nazywają choć niewłaściwie nasieniem, znajduja się na dolnéj powierzchni listowia; — nie widać zaś w nich ani pyłku, ani główki, ni téż żadnéj innéj części, choćby nawet pozornie upładniającéj; dla czego umieszczamy je między roślinami skrytopłciowemi czyli takiemi, których narzędzia płciowe nie są widzialne gołém okiem. Starano się je wprawdzie odkryć i kilku botaników sądziło już, że widzieli w poparociach główki pyłkowe czyli ciała do nich podobne *zmieszane z nasieniem*, lub przynajmniéj z niém stykające się; lecz to wszystko okazało się niedostateczném. Dopiero Leszczyc Sumiński, przez swoje gruntowne i nader szczegółowe badania, odkrył rzeczywisty czyn owocowania, zgodny zupełnie w tym względzie z tymże u innych roślin.

Wziąwszy jeden z tych zarodników, niewłaściwie zwanych nasionami ze spodniéj powierzchni liścia paproci i wsadziwszy do ziemi, uważajmy tę sprawę według wskazówek Sumińskiego, a z łatwością zrobimy sobie wyobrażenie dokładne o rozwijaniu się i sposobie rozradzania paproci. Zarodnik wypuściwszy roztek, wydaje zaraz rozpłaszczenie nakształt listeczka, zapuszczającego się w ziemię, skąd pobiera pożywienie za pomocą korzonków, wyrastających z jego dolnéj powierzchni. Ten listeczek pierwiastkowy w niczém nie jest podobny do właściwych liści paprociowych i pospolicie ginie z czasem. Jest jednakowoż częścią ważną rośliny, bo na niém tworzą się niby główki i słupki, których wzajemne zbliżenie się stanowi istotę upłodnienia. Śledząc uważnie ten listek pierwiastkowy pod drobnowidzem powiększającym 300-400 razy, zobaczemy w pośród zwykłych komórek, inne, wcale różne komórki. Te zamiast istoty barwiącéj, zawierają jądereczka, zamieniające się w pęcherzyki błonkowate, ugniatające się wzajem w komórkach macierzystych; i te to komórki złożone, które przezwano płodniczkami, zbliżają się właśnie do główek roślin jawnopłciowych.

Niezależnie od tych zwykle licznych płodniczków (antheridia), uważać można na tym samym listeczku pewne komórki wydłużone, a na ich dnie coś jak zarodek. Ciałka te, podobne do nasion, albo owoców niewykształconych roślin doskonalszych, nazwano słupniczkami (pistillidia).

Poznawszy tak narzędzia potrzebne do upłodnienia, zważmy ich czynności. — Płodniczki dzielą się i tworzą tym sposobem komórki pochodne: a natenczas spostrzegamy w każdéj ciałko nieco wydłużone, zwinięte ślimaczkowato, które uwolnione pęknięciem ścian komórki — z jéj wnętrza, przedstawia się w kształcie dosyć podobnym do wrzecionka, z lekkiém nabrzmieniem w jednym końcu ogonka. Te „włókienka śrubowate,“ gdyż ich tak nazwano, spostrzeżonemi były przez Naegelego i innych, kilka lat przedtém, nim Sumiński okazał ich przyrodę i użycie. Zaledwie się uwolniły, zaraz się ruszają z żywością w płynie, klejkiem pokrywającym powierzchnią listka; a wchodząc przez ujście spłupniczka do jego wnętrza, stykają się z zarookiem będącym na spodzie — i upładniają go. Kilka włókienek śrubowatych wchodzi zwykle do każdego słupniczka, porozpłaszczane końce ich ogonka dotykają się zarodka, zupełnie w ten sposób, jak — kiedy pęcherzyk pyłkowy padnie na znamie w roślinach doskonalszych, aby uskutecznić upłodnienie.

Tak upłodniony zarodek, zamiast stać się nasieniem doskonałém, jak w roślinach jawnopłciowych, zaczyna natychmiast wzrastać, wypuszczać korzonki i liście, rozwijając się w roślinkę. Wiemy, że w jawnopłciowych liścień dostarcza zarodkowi pożywienia dopóty, dopóki się nie wykształcą potrzebne narzędzia, służące do dalszego żywienia: więc też i w paprociach także listeczek pierwotny pełni czynność listnia względem zarodka upłodnionego.

Z tego, cośmy powiedzieli, wynika, że zarodki, zawarte w słupniczkach, są prawdziwemi nasionami paproci; lecz i to jest jasne, że te zarodki nie znajdują się w warunkach przyzwoitych rozradzania gatunkowego; co właśnie jest głównem zadaniem nasienia: stąd téż to wynika umieszczenie zarodków na powierzchni dolnéj listowia. Zarodniki te przeto niemogłyby być w żadnym przypadku uważane za nasiona. Tak więc kwitnienie paproci zdaje się być wstrzymaném w swym biegu: gdyż, zamiast się rozwinąć i wydać narzędzia rozrodcze czyli kwitnienia, daléj wykształcić nasiona (jak to bywa zwykle w roślinach doskonalszych) paprocie poprzestają jedynie na wykształceniu pewnego gatunku pąpków, które odczepiszy się od rośliny macierzystéj — rozpraszają się, dla dalszego rozwinięcia. Jeżeli jeden z takowych pąpków upadnie w stósowny żywioł — zaczyna rostkować, potém wkrótce wydaje listeczek pierwotny ze swemi główkami i zarodkami i w tym względzie zgadza się zupełnie z kwiatami innych roślin.

Odkrycie przez Sumińskiego co do sposobu, rozradzania się paproci, jest tém zajmujące, że tłómaczy ciekawą czynność przyrody, i jest jednym z liczniejszych dowodów, popierającym wyobrażenie, jakie mamy w sprawie rozradzania w ogóle, a zarazem potwierdza owę prawdę fiziologiczną: *Omnia ex ovo cum ovo.*

Wiadomości Bibliograficzne i Artystyczne.

Kraków. P. Ambroży Grabowski, autor tak upowszechnionego opisu miasta Krakowa, i innych poszukiwań w dziedzinie naszéj starożytności, wydał teraz w drukarni Czasu, owoc długoletniéj pracy, pod tytułem: *Dawne zabytki miasta Krakowa. — Przypomnienia przeszłości o niektórych starożytnych zwyczajach mieszczan krakowskich; o bramach, basztach i wszelaktch téj niegdyś stolicy kraju obronach, z dodatkiem różnych do dziedziny pamiątek należących wiadomości.* — Wkrótce będziemy mieli sposobność dać bliższą sprawę z tego dzieła podnosząc strony zalecające się nowością odkryć. — Drukarnie w ogóle są dosyć czynne. Zakład wydawnictwa dzieł katolickich wydał świeżo: *Listy w duchu Bożym do przyjaciół* (przez ks. Antoniewicza). — *Obrzędy Wielkiéj Soboty* z odpowiedniemi rozmyślaniami przez ks. W. S. — a powieść *Przygody Zosi* niebawem się ukaże. — Z drukarni uniwersyteckiéj wyszło nakoniec grube dzieło: *Statuta nec non Liber promotionum Philosophorum ordinis in Universitate Studiorum Jagellonica ab anno 1402 ad an. 1849. edidit Josephus Muczkowski, Bibliographiae Prof. et Bibliothecae Universitatis Praefectus.* — A z drukarni pod Sową: *Justyniana Instytucye* przełożone przez Aleksandra Cukrowicza. — O ile pożądanemi są przekłady dzieł klasycznych, o tyle przekład instytucyj, których się prawnicy zwykle uczą podług oryginału, przechodzi dzisiejszą naszą potrzebę; szkoda, że tłumacz niepoświęcił swéj pracy mozolnéj, innym jakim przekładom, któreby gwałtowniejszéj odpowiadały potrzebie.

—— Pan Stanisław Gołębiowski, budowniczy — ogłasza przedpłatę na *Słownik budowniczo-rzemieślniczy*, czyli zbiór wyrazów technicznych polskich, odnoszących się do budownictwa, miernictwa i rzemiosł, w związku z temi przedmiotami będących. — Rozwodzić się nad ważnością i pożytkiem zapowiedzianego słownika, byłoby rzeczą zbyteczn ; kogo miłość ojczystego języka cokolwiek zajmuje, ten bez wszystkiego potrafi ocenić, choćby najmniejszą w tym celu przedsięwziętą pracę. Liczny zapas wyrazów w ciągu kilkunastoletniéj praktyki, po większéj części między ludem wieśniaczym wyszukanych; zasilony nierównie liczniejszym z starych ksiąg wyczerpanych i od architektów lub rzemieślników nabytych; uposażony nareszcie znacznym i pracowitym tychże zbiorem szanownego Radwańskiego, tutejszego profesora budownictwa; spowodował autora do zgromadzenia takowych, dopełnienia brakujących, uporządkowania przedmiotowo, opisania każdego po szczególe i wydania na widok powszechny w jednéj księdze. — Tym przeto końcem wszystkie dzisiejsze i zagraniczne księgarnie zostały upoważnione, oraz inne uproszone ku temu osoby, aby przyjmować raczyły przedpłatę, to jest: zaliczenie zgóry za każdy egzemplarz rzeczonego słownika złp. 13 gr. 10, czyli złr. 3 kr. 20 m. k.

—— Pierwszych dni miesiąca Kwietnia r. b. wyjdzie z drukarni Czasu broszura pod tytułem: „O cholerze epidemicznéj i sposobie jéj leczenia,“ przez J. Warszauer, Dra med. i chir.

Poznań. Nakładem księgarni Jana Żupańskiego wyszła Część II. „Sejmu ustawodawczego rakuskiego,“ obejmująca obrazy niektórych posłów na Sejmie rakuskim, mianowicie: Fr. Smolki, posła lubaczowskiego; Fr. Palackiego, posła pragskiego; Jerzego Lubomirskiego, posła łańcuckiego; Fr. Stadion, posła rawskiego; Flor. Ziemiałowskiego, posła lwowskiego; Zdzisława Zamojskiego, posła laszeckiego; Mariana Dylewskiego, posła lwowskiego; Tytusa Dzieduszyckiego, posła kopeczynieckiego; Adama Potockiego, posła krakowskiego; Waler. Podlewskiego, p. kossowskiego; Szymona Kozakiewicza, p. myślenickiego.

Warszawa. W miesiącu październiku r. b. wyjdzie staraniem Pauliny z L. Wilkońskiéj, dzieło zbiorowe pod napisem: *Wiązanka literacka*, złożona z celniejszych utworów w poezyi i prozie tegoczesnych pisarzy naszych. — Nieco późniéj wyjść ma dzieło humorystyczne pod napisem: *Pokrzywy literackie*, tomów 2, przez autora *Mówki pogrzebowéj*.

Berdyczów. Na dniu 14go marca odbył się w miejscowym parafialnym kościele, obrzęd zaślubin pani Eweliny z hr. Rzewuskich Hańskiéj z panem Balzakiem, znanym romansopisarzem francuskim. — Więc to nie jest bajką co dzienniki francuskie pisały, że pan Balzak przerabia się teraz na bojara, i pisze monografię piędziesięcioletniéj kobiety.

Praga. Donosiliśmy już o wydaniu dzieł Jarosława Langera, teraz utwory *Karola Hinka Macha*, tak wcześnie zgasłego poety, mają wyjść w edycyi pogrobowéj. Poezye jego należą do najwyborniejszych w literaturze czeskiéj. Oprócz poematu *Maj*, wiele jego kawałków nie było dotąd ogłoszonych; w liczbie tych znajduje się romans: *Cikani*. Wydanie to podejmuje swym kosztem baron Villani. — Pan Franciszek Doucha ukończył czeski przekład elegii Tibulla. — Prof. Purkynie w tych dniach przyjeżdża z Wrocławia do Pragi. — Jeden z młodych czeskich literatów tłumaczy serbski dramat: *Miłosz Obilicz*, czyli upadek państwa serbskiego, napisany przez Popowicza, drugi dramat: *Juran i Zofia* przez Kukuljewicza Sakczyńskiego. — Przedmiotem obu dramatów są dwie wielkie bitwy z Turkami, pierwsza na polu Kosowém, druga pod Sisekiem. — Szkoda, że nikt tak u Czechów, jak u nas nie zabiera się do przekładu dramatycznych utworów margrabi Piotra de Bona-Lukowicz, jednego z najjenialniejszych pisarzy dramatycznych raguzańskich. Niedawno bowiem Ludwik Gaj wynalazł w jednéj z dalmackich bibliotek kilka sztuk jego nieznanych dotąd, lub zapomnianych. — Do znajomszych dramatów Bona-Lukowicza liczą trajedyę pięcioaktową: *Muhamed u Bosnu.* — *Libuszin sniatek* (zamęście Libuszy) — taki jest tytuł nowéj czeskiéj opery, napisanéj przez Chmeleńskiego, muzykę dorobił kapelmistrz Franciszek Skraup. — Świeżo wyszedł także *Pravopis czesky dle ustrojnosti czeskeho jazika* przez Jana Tomiczka, jest to najpraktyczniejszy traktat o pisowni czeskiéj.

Rosya. W Petersburgu zgasł niedawno znany historyczny pisarz Bantysz-Kamiński. — Jego historya Mało-Rosyi, aczkolwiek stronnie pisana, zawiera wiele szczegółów, obchodzących dzieje nasze, szczegółów, czerpanych w źródłach miejscowych.

Anglia. Dnia 13go lutego, londyńskie towarzystwo biblijne odprawiło cztérdziestopiąte posiedzenie roczne. Pokazało się ze sprawozdania, że towarzystwo od czasu swego istnienia wypuściło w obieg 22 miliony egzemplarzy biblii. Wydatki na ten cel wynosiły więcéj niż 3 miliony funtów szt. (120 mil. złp). W roku upłynionym rozpuściło towarzystwo 1,007,518 egzemplarzy biblii. Jeżeli do biblij wydanych przez towarzystwo londyńskie, dodamy te, które rozpuściły inne towarzystwa, tedy mniéj więcéj liczba egzemplarzy wzrośnie do sumy 32 milionów. Biblie tow. lond. wychodziły w 81 dyalektach. Widzimy z tego, jak obszérném jest działanie téj korporacyi. Członkowie téj misyi biblijnéj znajdują się i u nas, gdzie od czasu do czasu, czynność ich objawia się, nawróceniem jakiego żydka.

Ameryka. Dziennik *Daily News* donosi z Filadelfii o bardzo ciekawém odkryciu w bliskości San Diego, o dzień drogi od brzegów spokojnego ocenu przy zatoce Kalifornii. Jest-to jakieś starożytne miasto, pełne świątyń, domów, kamiennych piramid (siedm w przestrzeni mili) szerokich murów z granitu, kolumn okrytych hieroglifami; co wszystko dowodzi, że tu przebywało jakieś plemie wygasłe, którego historya jest zagadką dla żyjących pokoleń. Ruiny te podobne już są do nowo-odkrytych miast, jak Palenque, już do pomników egipskich, już do fenickich; chociaż wiele różni się kształtem od wymienionych dopiero. — Utrzymuję niektórzy, iż miasto to należy do epoki przedpotopowéj, a to z téj miary, iż teraźniejsi Indyjanie prawią w swych podaniach o jakimeś narodzie Asteków, których przodkowie ich mieli wytępić zupełnie.

Afryka. Jeżeli w Kapie (na przylądku Dobréj Nadziei) wychodzący dziennik: *Soath African Commercial Advertiser* — dobrze jest uwiaddmiony, tedy niedawno zrobiono jedno z największych odkryć jeograficznych. Dziennik ten bowiem ogłasza, iż wielkie afrykańskie jezioro na północy kolonii Kapu, o którém były tylko domysły, zostało odrytém przez znanego podróżnika Rutherfoord.

Czcionkami drukarni Czasu.